

Marek A. Cichocki: Zaprzysiężenie Trumpa. Mocarstwa zaczynają nową grę

Dzisiaj Polska nie jest już tylko, jak kiedyś, usytuowana wyłącznie między Niemcami i Rosją. Dodatkowo znajduje się także między Ameryką i Chinami oraz Ameryką i Bliskim Wschodem



Dla Polaków sugestia, że światowa polityka Trumpa może przypominać realizm Roosevelta, brzmi zniechęcająco. Jednak nasza przyszłość nie musi wcale być tak negatywnie zdeterminowana przez historię, tym bardziej że nasza obecna sytuacja jest pod wieloma względami inna – pisze prof. Marek A. Cichocki na łamach aktualnego wydania „Plus Minus”

Stwierdzenie, że kończy się porządek świata, jaki dotąd znaliśmy, nie jest dzisiaj ani wielkim odkryciem, ani poruszającą intelektualnie prowokacją. Szczególnie po zwycięstwie Donalda Trumpa nad Hillary Clinton powoli przyzwyczajamy się do nieuchronnej zmiany wielu dotychczasowych pewników, na których zbudowane było nasze wyobrażenie światowego porządku. Świat po prostu będzie inny. Znacznie ciekawszym pytaniem, które warto więc sobie stawiać, jest to: jaki może być świat, którego jeszcze nie znamy?

Koniec liberalnego ładu

Naprawdę niewielu mogło zakładać, że zaledwie w ciągu dekady – powiedzmy, od 2008 roku, a więc od pierwszych wydarzeń finansowego kryzysu i bardzo lokalnej przecież wojny między Rosją i Gruzją – liberalna koncepcja Zachodu jako gwaranta światowego porządku ulegnie tak szybkiej degradacji. Mówimy o koncepcji, która zakładała transatlantycką jedność Zachodu, Stanów Zjednoczonych i Europy Zachodniej – nie tylko politycznej czy ekonomicznej, ale także ideowej.

W globalizacji widziała ona szansę ekspansji zachodnich wartości i interesów, dlatego bezwzględnie zalecała wsparcie dla wolnego handlu i otwartość rynków na zagraniczne inwestycje, wyrażała wiarę w pozytywną moc globalnych rynków finansowych, technologicznego postępu i ogólnej mobilności kapitału ludzi oraz idei. Odpowiednio do tego pokładała też wiarę w zdolność do wytworzenia globalnego porządku świata, opartego na kooperacji oraz wymianie, w którym wszyscy, jeśli tylko zechcą, mogą być beneficjentami.

Taki porządek, zgodnie z tą koncepcją, powinien opierać się raczej na wielostronnych porozumieniach, międzynarodowych instytucjach oraz przestrzeganiu ponadnarodowych reguł niż na sile pojedynczych państw czy narodów. Zasadniczo bowiem to właśnie te reguły i instytucje powinny normować zachowania państw i narodów, monitorować rządy oraz systemy polityczne, pilnować przestrzegania podstawowych zasad, takich jak poszanowanie rządów prawa, ochrona mniejszości, niedyskryminacja, prawa człowieka, wielokulturowość.

Wraz z wyborem Trumpa, a wcześniej brytyjskim referendum w sprawie Brexitu, dominująca od końca zimnej wojny pozycja takiego liberalnego sposobu widzenia świata została zakwestionowana w obrębie Zachodu. Okazało się, że także w innych państwach, stanowiących dotąd rdzeń liberalnego świata zachodniego, we Włoszech, Francji, Holandii czy w Niemczech narastają ruchy protestu i kontestacji liberalnego ładu określane zbiorczo populizmem.

Dla zwolenników liberalnego ładu wybór Trumpa na prezydenta był i jest czymś nieakceptowalnym. Jest jak koniec świata. Nie przez przypadek Hillary Clinton ukuła podczas kampanii slogan: jestem ostatnim bastionem, który oddziela was od apokalipsy.

Podobne nastroje panują w Brukseli oraz niektórych państwach UE w stosunku do zwolenników Brexitu. Nie ma bowiem żadnej możliwości dialogu czy porozumienia z tymi, którzy odrzucają lub kwestionują dotychczasowy liberalny porządek rzeczy.

Kissinger wraca na scenę

W obliczu tak radykalnego rozłamu dużym zaskoczeniem stała się postawa Henry'ego Kissingera, byłego amerykańskiego sekretarza stanu, wybitnego polityka i także autora głośnych książek z dziedziny myśli o stosunkach międzynarodowych. Nie tylko nie przyłączył się on do chóru głosów potępiających Trumpa, ale w czasie kampanii ostentacyjnie spotkał się z obojgiem kandydatów na prezydenta, a po zwycięstwie Trumpa udzielił kilku wywiadów, w których stwierdził, że dla polityki światowej ta zmiana może i jest zaskakująca, ale niesie ze sobą dużą szansę.

Kilka tygodni temu w wywiadzie dla telewizji CBS Kissinger powiedział, że Trump na stanowisku prezydenta jest bez wątpienia kimś wyjątkowym politycznie, ponieważ nie jest obciążony zależnością od jakiegokolwiek grupy czy idei, w tym sensie jest całkowicie wolny, jest także zupełnym zaskoczeniem dla innych przywódców na świecie. Biorąc pod uwagę powstałą za sprawą Baracka Obamy polityczną pustkę oraz nowe wyzwania, taka wyjątkowa pozycja Trumpa daje mu duże pole manewru do podjęcia trudnych decyzji.

Nagła reaktywacja 94-letniego Kissingera, guru politycznego realizmu w stosunkach międzynarodowych, wzbudziła szereg komentarzy, często nieprzychylnych. Zarzucano mu, że chce wykorzystać sytuację po odejściu krytykowanego często przez siebie Obamy i zająć przy Trumpie miejsce nieformalnego doradcy. Wypomniano mu w tym kontekście jego wielokrotne spotkania z Władimirem Putinem oraz wypowiediane na temat Rosji poglądy.

Faktycznie bowiem we wspomnieniowym artykule w dwumiesięczniku „The National Interest” na temat zmarłego Jewgienija Primakowa, byłego premiera Federacji Rosyjskiej, z którym miał w latach 2007–2009 kierować nieformalną grupą amerykańsko-rosyjskich konsultacji, Kissinger stwierdził, że Amerykę i Rosję wiąże strategiczna zależność, że Rosja jest dla porządku światowego niezastępowalnym elementem, szczególnie w kontekście sytuacji w Azji i na Bliskim Wschodzie. Dlatego ze względu na znaczenie tych strategicznych związków konflikt dotyczący Ukrainy powinien zostać rozwiązany polubownie, w taki sposób, by połączyć Ukrainę z Europą, ale jednocześnie respektować interesy Rosji. Przykładem takiego rozwiązania mógł być status Finlandii w czasach zimnej wojny.

W stronę realizmu

Poglądy Kissingera faktycznie korespondują z deklaracjami składanymi przez Trumpa w kwestii jego przyszłej polityki zagranicznej. Jeżeli Trump oznacza odejście Ameryki od dotychczas liberalnego podejścia do porządku światowego, to nie powinno dziwić pojawienie się w tym kontekście Kissingera, mistrza politycznego realizmu.

Obie filozofie uprawiania polityki zagranicznej – liberalna i realistyczna – konkurują bowiem ze sobą od ponad wieku. Dzisiaj wyraźnie Zachód skręca w stronę realizmu, przynajmniej jego zasadnicza, anglosaska część i ma w tej zmianie wielu potężnych na świecie sprzymierzeńców, takich jak Rosja, Chiny czy Turcja.

Świat nie będzie jeden, globalnie uporządkowany, rządzony przez międzynarodowe instytucje, wspólne reguły i wielostronne umowy, elity ponadnarodowej polityki oraz biznesu. Świat musi odzyskać równowagę, dzięki ustanowieniu regionalnych porządków, opartych na własnych interesach oraz zasadach, w czym kluczową rolę mogą odegrać tylko najsilniejsze państwa i prawdziwi przywódcy. W tym świecie znów króluje polityka, realny potencjał, siła, zasoby, zdolności, bo to one, a nie abstrakcyjne zasady czy instytucje międzynarodowe, decydują w ostateczności o porządku i pokoju. Świat nie jest tylko globalną przestrzenią współpracy oraz wymiany, ale również nieusuwalnych różnic, konfliktów, sfer interesów i także wojen.

Nawet jeśli więc Trump jest – ze względu na swoją osobowościową specyfikę – dość kłopotliwy jako twarz wielkiego zwrotu w stronę politycznego realizmu, to samo zjawisko jest czymś koniecznym i uzasadnionym, jeśli chcemy uniknąć poważnej katastrofy. Jednym z największych błędów liberalnego podejścia do polityki światowej, a Obamy w szczególności, jest bowiem – według Kissingera – to, że liberalny porządek stał się w wielu przypadkach niebezpiecznym pozorem, jak pokazują napięcia między USA a Chinami i Rosją czy wojna w Syrii. Tak jak wiara w pozorną racjonalność finansowych rynków doprowadziła Zachód na skraj gospodarczej przepaści, tak samo wiara w to, że same reguły, umowy czy organizacje bez realnej siły i zaangażowania pozwolą uniknąć konfliktów, mogą doprowadzić nas do kolejnej wielkiej wojny. Bowiem zachowywanie pozorów, które są coraz bardziej odległe od rzeczywistości, może być śmiertelnie niebezpieczne.

Piękne zasady czy kruchy pokój?

Brytyjski historyk Niall Ferguson, zafascynowany polityczną postacią Kissingera oraz jego ideami w co najmniej równym stopniu jak krytyczny wobec skutków polityki Obamy dla świata, napisał w kwartalniku „The American Interest” tekst, w którym ogłosił, że pod wieloma względami światowa polityka Trumpa może przypominać realizm Franklina D. Roosevelta z lat 30. i 40. XX wieku. I tak jak kiedyś liberalna polityka międzynarodowych zasad oraz otwartego handlu Woodrowa Wilsona nie uchroniła świata po I wojnie światowej przed wybuchem kolejnego globalnego konfliktu, i to dopiero realizm Roosevelta doprowadził do ustanowienia względnego światowego pokoju po 1945 roku, tak samo teraz Trump jest dla Fergusona szansą na to, by przywrócić w różnych regionach świata utraconą w wyniku błędów Obamy równowagę. Nie wystarczy bowiem dać światu piękne zasady, trzeba mu dać także pokój, a to jest możliwe przede wszystkim w oparciu o polityczny realizm oraz selektywne zaangażowanie najsilniejszego państwa świata tam, gdzie to ma swoje uzasadnienie.

Trump jako dealmaker, może więc – zdaniem Fergusona – faktycznie doprowadzić do nowego układu sił z Chinami w Azji oraz z Rosją, Turcją i Izraelem w kwestiach Bliskiego Wschodu, dzięki czemu groźba wielkich konfliktów oraz długotrwałej destabilizacji w tych regionach zostanie odsunięta.

Nie sposób nie zgodzić się z Fergusonem, że właśnie w tych obu regionach świata nowa, realistyczna polityka Stanów Zjednoczonych bardzo by się przydała.

Ekspansja Chin jest niebezpieczna i może się zakończyć wielką wojną o niewyobrażalnych konsekwencjach. Konflikt taki oznaczałby spadek amerykańskiego PKB przynajmniej o 10 proc., a chińskiego o 30 proc., co dla światowej gospodarki byłoby porównywalne do uderzenia w Ziemię sporej wielkości asteroidy. O stratach w ludziach raport mówi ogólnie, że musielibyśmy je liczyć w milionach.

Z kolei na Bliskim Wschodzie mamy do czynienia z faktycznym rozbiorem Syrii oraz rozpadem porządku państwowo-politycznego całego regionu ustanowionego w wyniku I wojny światowej. Przez ostatnie sto lat nie był to porządek doskonały, ale dawał jakieś ramy, w których wszyscy się poruszali. Dzisiaj jego załamanie może niechybnie doprowadzić nie tylko do rywalizacji między najsilniejszymi państwami, Rosją, Turcją, Iranem, Izraelem i Arabią Saudyjską, z których każde posiada ogromny militarny potencjał, a część broń masowego zniszczenia, ale sprawia, że wciąż na nowo odtwarza się śmiertelny potencjał islamskiego terroryzmu i jego wojującej, antyzachodniej ideologii.

W obu przypadkach wielkiego zagrożenia – w Azji i na Bliskim Wschodzie – znacząco brzmi zdanie wypowiedziane podczas kampanii prezydenckiej przez Trumpa na temat swej przyszłej polityki zagranicznej: „Zawsze możemy wybierać sobie przyjaciół, ale nigdy nie wolno nam nie rozpoznać naszych wrogów”.

Ponowny rozpad Europy

Przejście od ładu liberalnego do realistycznego, porzucenie tradycji Wilsona na rzecz Roosevelta jest ciekawą teorią, zwłaszcza jeśli rozpatruje się ją pod kątem problemów w Azji czy na Bliskim Wschodzie. Znacznie gorzej wygląda to z perspektywy Europy.

Nie przez przypadek to Wilson ma swój plac w Warszawie, a nie Roosevelt – i bardzo dobrze, bo wspaniały pokój, który ten drugi dał światu, dogadując się ze Stalinem, oznaczał także podział Europy i zimną wojnę, a dla nas w Polsce kilkadziesiąt lat komunizmu i długotrwałe wybijanie się na ponowną suwerenność oraz własne miejsce na Zachodzie.

Zmiana w amerykańskiej polityce wobec światowego porządku, którą nazywamy tutaj realistycznym zwrotem, nie zdecyduje się przecież w ciągu krótkiego czasu, a raczej będzie prowadzić do długotrwałego wewnętrznego sporu w obrębie samego Zachodu, skutkiem czego całkiem prawdopodobne jest, że w Europie będzie się pogłębiał – ze szkodą dla współpracy w ramach UE oraz NATO – nie tylko geopolityczny podział kontynentu, ale także ideologiczne różnice między obrońcami starego liberalnego porządku i jego wartości oraz zwolennikami realistycznego zwrotu, którym już nadano zbiorcze miano „nieoliberalnych demokracji”.

Do tego grona zaliczono kraje Europy Środkowej, przede wszystkim Polskę i Węgry, a po referendum w sprawie Brexitu i upadku rządu Davida Camerona także Wielką Brytanię i Theresę May. Po drugiej stronie mamy międzynarodowe elity polityczne i biznesowe (tzw. ludzi z Davos, jak nazywał ich Huntington), polityków z instytucji unijnych

oraz dużą część mediów. Prawda jest też taka, że ta druga strona będzie dopiero na nowo się kształtować, przede wszystkim w wyniku wyborów we Francji, Holandii i w Niemczech.

Jeśli prezydentem zostanie François Fillon, to we Francji dojdzie do jakiegoś rodzaju koncesjonowanego populizmu w ramach interesów republiki, do zbliżenia z Rosją oraz silnego impulsu na rzecz budowania małej Europy (z południem, ale bez Europy Środkowej) w opozycji do świata i tradycyjnie Ameryki. Największe zmartwienie mają Niemcy, którzy dotąd najbardziej korzystają z liberalnego porządku światowego oraz zjednoczonej Europy. Dla nich realistyczny zwrot Trumpa oznacza prawdziwą katastrofę: wyjście Wielkiej Brytanii ze wspólnego rynku, obłożenie niemieckich produktów wysokimi cłami na amerykańskim rynku oraz perspektywy konfliktu handlowego z Chinami uderzają w podstawy niemieckiego dobrobytu. Jeśli do tego dodamy możliwą dalszą destrukcję strefy euro oraz konsekwencje niekontrolowanego przyjęcia setek tysięcy emigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki, to przyszłość Angeli Merkel nie rysuje się zbyt ciekawie.

Ulrich Speck, niemiecki analityk, napisał ostatnio w konserwatywno-narodowym „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, że jeśli układ europejski się rozpadnie, Niemcy staną wobec dylematu: albo samemu sięgnąć po pozycję mocarstwową, albo stać się piłką w grze innych mocarstw. Brzmi intrygująco, ale przede wszystkim pokazuje, jak gwałtownie zaczyna się chwiać konsens dotyczący podstaw dotychczasowej pozycji Niemiec w Europie i w świecie. Dlatego nie jest wykluczone, że nie tylko część wyborców pokaże Merkel czerwoną kartkę w tegorocznych wyborach, ale także niemiecki establishment polityczno-biznesowy może uznać, iż nadszedł czas na zmianę politycznego przywództwa, nie wspominając już o Putinie i jego armii internetowych trolli.

Mała wojna

Wszystko to znamionuje prawdopodobne spore przemeblowanie Europy w najbliższym czasie, które dla dotychczasowych struktur porządku, dla UE i NATO, może oznaczać poważne wyzwanie. Jest jeszcze jedno niebezpieczeństwo dla Europy: możliwość małej wojny.

Realiści pokroju Kissingera czy Fergusona gotowi są przyjąć wszelką ekscentryczność Trumpa, wierząc, że zerwanie przez niego liberalnych pozorów pozwoli uchronić świat przed wybuchem wielkiego konfliktu w Azji czy na Bliskim Wschodzie. Ale czy uchroni nas przed małą wojną w Europie?

Tutaj oczywiście dochodzimy do problemu Rosji, której cele pozostają nieprzeniknione – być może nawet dla niej samej.

Od 2014 roku Rosja cały czas ćwiczy małą wojnę, wojnę ograniczoną. Formatuje wyobraźnię Zachodu, jego przywódców oraz społeczeństw w taki sposób, aby wojna w małej skali, z wyraźnymi ograniczeniami dla wszystkich stron konfliktu, stała się „normalnym”, akceptowalnym środkiem prowadzenia polityki. Od trzech lat Rosja prowadzi przeciwko Ukrainie regularną wojnę, ale w ramach narzuconych przez siebie i uznawanych przez Zachód zasad.

Amerykański think tank RAND Corporation wcześniej nakreślił scenariusz takiej małej wojny w odniesieniu do państw bałtyckich, w której ich terytorium zostaje zdefiniowane jako teatr możliwych

działań, poza którego obręb agresor oraz obrońcy nie mogą wyjść pod sankcją punktowego użycia broni masowego zniszczenia. Biorąc pod uwagę taką formułę małej wojny kontrolowanej, Rosja dysponuje wieloma możliwymi scenariuszami prowadzenia ofensywnych działań czy na Ukrainie, Białorusi, czy wobec państw bałtyckich, także na Bałkanach oraz wobec Polski.

Czy w takim razie grozi nam, że za cenę uniknięcia wielkiej wojny będziemy musieli w Europie zaakceptować małe wojny kontrolowane w ramach porozumień między najsilniejszymi stronami?

Nie sposób przesądzić, czy świat po realistycznym zwrocie będzie faktycznie lepszy. Będzie na pewno zasadniczo inny niż ten, w którym żyliśmy przez ostatnie ćwierć wieku. Europa konsekwencji tej zmiany może doświadczyć w stopniu dość znacznym, będąc jednocześnie zupełnie do tego nieprzygotowaną. Dla nas w Polsce sugestia, że światowa polityka Trumpa może przypominać dawny realizm Roosevelta, brzmi zniechęcająco, jako groźba powtórki z historii. Jednak nasza przyszłość nie musi wcale być tak negatywnie zdeterminowana przez historię, tym bardziej że nasza obecna sytuacja jest pod wieloma względami inna.

Polska jest częścią Zachodu nie tylko w sensie strukturalnym, ale także mentalnie. Stanowi część UE oraz NATO. Ma bezpieczne zachodnie granice, a swoje bezpieczeństwo może także wzmacniać przez bilateralne stosunki ze Stanami Zjednoczonymi. Dodatkowo osiągnięcia ostatnich dwóch dekad oraz niezła perspektywa dalszego

rozwoju gospodarczego i społecznego wzmocniają naszą pozycję w regionie i w Europie. To wszystko tworzy niemały kapitał, którym dysponuje dzisiaj Polska i na którym może się oprzeć.

Więcej chłodnej analizy, mniej emocji

Konsekwencje realistycznego zwrotu faktycznie przynoszą nam dwa fundamentalne zagrożenia – próbę wypchnięcia nas z naszego miejsca na Zachodzie oraz próbę wciągnięcia nas w małą wojnę kontrolowaną. Pierwsze zagrożenie będzie rosło wraz z tym, jak w obrębie Zachodu narastać będzie ideologiczny konflikt między obrońcami dawnego liberalnego ładu a siłami prącymi ku realistycznej zmianie. Budowanie małej zachodniej Europy jako oblężonej twierdzy liberalizmu w naturalny sposób będzie prowadzić do odrzucenia Polski oraz całego naszego regionu (bądź jego części). Syreny Aleksandra Dugina już śpiewają z Moskwy swoją słodką pieśń o tym, że Europa Środkowa powinna porzucić narzuconą jej rolę kordonu sanitarnego broniącego przed Rosją.

Z kolei w zachodniej Europie już trwa intelektualna robota, by udowodnić, że przecież Polska czy Węgry nigdy nie były prawdziwymi demokracjami, bo same nie są do tego zdolne („Foreign Affairs”, Sean Hanley i James Dawson: „Polska nigdy nie była całkiem demokratyczna”). Próba wciągnięcia Polski w małą wojnę kontrolowaną jest niestety także możliwym do pomyślenia zagrożeniem. Przy czym nie chodzi tutaj wcale wyłącznie o Rosję, ale także o długą tradycję Zachodu, by rozwiązywać geopolityczne problemy w naszym regionie rękoma Polaków, bez względu na to, jakie ma to dla nich bezpośrednio fatalne konsekwencje.

Skoro świat wchodzi w nową fazę realizmu i staje się bardziej skomplikowany, stawiając przed nami nowe zagrożenia, to należałoby życzyć polskiej polityce i polskim politykom, a także opinii publicznej, więcej chłodnego oglądu sytuacji, spokojnej kalkulacji, a mniej emocji. Są to niestety wszystko towary mocno u nas deficytowe, a jednocześnie absolutnie niezbędne do tego, by bezpiecznie poruszać się między nowymi rafami.

Dzisiaj Polska nie jest już tylko, jak kiedyś, usytuowana wyłącznie między Niemcami i Rosją, ale dodatkowo znajduje się także między Ameryką i Chinami oraz Ameryką i Bliskim Wschodem. Dlatego bardzo przydałaby się jej własna strategia na nowe czasy, chociażby po to, aby to, co w jej polityce wewnętrznej jest tak rozedrgane i pełne emocji, nie rzucało nią na wszystkie strony w polityce międzynarodowej. Ponieważ tam decydować się będzie nasza przyszłość.

Marek A. Cichocki

Tekst ukazał się na łamach tygodnika Plus Minus